

DRZAL-A ↓

Irena i Teresa Drzał./ur. ok. 1930 roku, w Warszawie, w środowisku inteligentkim./

odyscja.  
Sowiecka ~~propaganda~~.

ARCHIWUM WSCHODNIE

A

Wakacje 1939 roku spędzaliśmy z mamą w lasach ordynacji nieświeskiej koło Stołpców, w leśniczówce wójka. Tam zaskoczyła nas wojna.  $\chi$  Ojciec zdążył jeszcze przysłać listy z Warszawy, abyśmy nie wracały i przeczekały najgorsze zamieszanie. Oczekiwałyśmy więc Niemców, budując wraz z krewnymi schron na wypadek walk i gromadząc zapasy. Życie codzienne biegło na razie normalnym trybem: przygotowywano się do chrztu dziecka kuzynki, planując tę uroczystość na 17 września. Tego dnia jednak - ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, gdyż spodziewaliśmy się Niemców - wkroczyli Rosjanie. W okolicy nie doszło do walk, KOP był dezorientowany, wśród administracji widać było wręcz sceny paniki. Rosjanie zachowywali się spokojnie, "Przyszliśmy bronić was przed Hitlerem" - powtarzali. Miejscowa ludność białoruska pozostawała bierna, dezorientowana i nic nie zmieniło się w jej przychylnym na ogół nastawieniu do Polaków. Mimo wszystko ciągle istniał jakiś kontakt z Warszawą i ojciec przysłał wiadomość, że przyjedzie po nas. Czekałyśmy.

10 lutego 1940 roku miała miejsce pierwsza wywózka. Brano także służbę leśną i wujek był przekonany, że <sup>rdwierz</sup> ~~on~~ jego wywiozą, choć miejscowi ~~on~~ zapewniali, że obronią go, gdyż był zawsze dobrym człowiekiem. Usiłowaliśmy się więc kilkakrotnie przedostać <sup>się</sup> przez Bug, także <sup>zresztą</sup> wcześniej, w 1939 roku, ale opłaccani przewodnicy nie zgłaszali się i wracałyśmy do leśniczówki. Staraliśmy się też wyjechać przez komisję niemiecko-rosyjską repatriującą Niemców i osoby odłączone od rodzin w Generalnej Guberni. W ostatniej chwili <sup>jednak</sup> zabrakło jakiegoś dokumentu.

Wkrótce później ogłoszono, że "bieżący" mogą się rejestrować

u władz radzieckich, jeśli pragną wrócić na tereny okupowane przez Niemców. Mama zgłosiła się ~~tu~~ do odpowiedniego biura w Nieświeżu. 29 czerwca 1940 roku przyjechała do leśniczówki ciężarówka, aby - jak nam oświadczone - podwieźć nas do pociągu jadącego do Generalnej Guberni. Zabrałyśmy ~~tu~~ trochę letnich ubrań na drogę i pojedziałyśmy do stacji Horodziej. Tu wpakowano nas do bydłych wagonów, z których nie wolno było już wychodzić. Zorientowałyśmy się szybko, że nie pojedziemy do Warszawy i jeszcze w ostatniej chwili ciotka zdażyła przysłać cieplejsze ubrania i trochę jedzenia.

Transport nasz składał się z 30-40 wagonów. Było w nich około tysiąca osób; większość Żydzi, tylko kilka rodzin katolickich. Spaliśmy na gołych prczach, nie było nawet słomy. Raz dziennie dostawaliśmy do wagonu kubek kaszy i "kapiatok". Co jakiś czas pociąg stawał i załatwialiśmy się wtedy w polu. Mówiono, że jedziemy na Archangielsk. Żydzi usiłowali nawet przekupić załogę pociągu, by skierować go na południe. W rzeczywistości jechaliśmy na Swierdłowsk. Po dwóch tygodniach pociąg dotarł do Tawdy, nad rzeką o tej samej nazwie, w Swierdłowskiej Obłęsti, za Uralem. Tu przesadzono nas na barkę i spławiono w dół Tawdy. Później jechaliśmy jeszcze furmankami, by w końcu trafić do małego "pasiołka" w głębi tajgi.

Było to Kuryniowo, 30 kilometrów od miasta Tabor, stolicy "Taborowskiego rajona". "Pasiołek" - jeśli nie liczyć nielicznego kierownictwa oraz chmur dokuczliwych muszek i komarów - był zupełnie pusty, jakby przygotowany dla nas. Składał się z dużych drewnianych baraków. Każdy z nich przedzielony był długim korytarzem. Od niego rozchodziły się ~~tu~~ puste, okropnie zapluskwione izby. W każdej z nich, nie większej niż 30 metrów kwadratowych, zamieszkały 4 rodziny. Miały do dyspozycji po jednym rogu pokoju i dostęp do wielkiego pieca o <sup>dwóch</sup> paleniskach.

Oprócz domów mieszkalnych było w "pasiołku" jeszcze kilka innych

obiektów: stołówka, piekarnia, sklepik, gdzie sprzedawano na kartki naftę i chleb<sup>o</sup> po 300 gramów na głowę oraz nawet izba porodowa. W ciągu paru tych lat przyszło w niej na świat sporo żydowskich dzieci. Odbierał je łagodny i dobry staruszek felczer, zesłaniec, który podobno przed rewolucją miał pod Moskwą dużą klinikę. Nieco dalej, około 500 metrów za "pasiołkiem" stały stajnie z końmi dogładanymi przez łagierników z pobliskiego obozu Iwkin, położonego kilkamaście kilometrów od "pasiołka" w lesie. Z łagiernikami mężczyźni-zesłańcy chodzili do pracy przy wyrębie lasu. Zwalone drzewa piłowali na odcinki i spławiali Tawtą. Pomagała <sup>w</sup> przy tym młodzież i kobiety. Także jedna z nas - starsza - pracowała przy wyrębie w brygadzie młodzieżowej, a potem, daleko w głębi tajgi, siała nowe drzewka na porębie. Młodsza została w domu i bawiła dzieci, najpierw polskie, <sup>zniej</sup> ~~potem~~ została niańką u buchaltera. Jedna ze znajomych pań szyła, mama pracowała w piekarni, dzięki czemu mogła wynieść po kryjomu trochę chleba. Musiała jednak dźwigać wodę oraz drewno <sup>a</sup> ~~z~~ takie zajęcie było dla niej zbyt ciężkie. Przeniesiono ją więc do izby porodowej na pomocnicę felczera. Potem gotowała posiłki. Jedliśmy kartofle, pęczak, groch, "dania" z owsa rozgniatanego butelką na stolnicy. Latem mieliśmy w jaskospisie dodatkowo runo leśne, jagody a nawet barszcz z jakiegoś zielska.

Życie w "pasiołku" biegło monotennie. Praca zabierała nam większość snu, a wieczorem trzeba było nazbierać jeszcze drewna w lesie dla siebie, coś wyprać, przygotować <sup>coś</sup> do zjedzenia. Trochę razem śpiewaliśmy, staraliśmy się przytulniej urządzić nasze izby, czytaliśmy radzieckie gazety, które przychodziły pocztą, rozmawialiśmy. W stosunkach z Rosjanami zesłańcy utrzymywali dystans, zresztą był tylko komendant i jego zastępca, nauczyciel i nauczycielka, kilku brygadzystów, buchalter i parę ~~osób~~ osób z administracji. Jeszcze rzadziej stykaliśmy się z miejscowymi - Czuwaszami. Wokół "pasiołka"

w tajdze rozrzucone były ich nieliczne wioski. W wolne dni chodziliśmy tam wymieniać na żywność ubranie i jakieś rzeczy, które czasami przychodziły w paczkach od ciotki. Trudno jednak rozmawiało się z Czuchaszami. Byli jacyś wystraszeni, dzicy, zamknięci w sobie, prymitywni i jak my - strasznie biedni. Nie wiele też miałyśmy rzeczy na wymianę. Same potrzebowałyśmy jak najwięcej ciepłych ubrań, gdyż klimat był wyjątkowo surowy. Zimą temperatura spadała do -50 stopni Celsjusza. Często zdarzały się więc odmrożenia. O dziwo, natomiast rzadko chorowałyśmy na inne choroby, choć przecież nie wszyscy w takich prymitywnych warunkach wzorowo przestrzegali higieny. Parę osób nawet wyleczyło się z gruźlicy, oddychając długo suchym powietrzem świerkowej i sosnowej puszczy.

Większość czasu spędzaliśmy więc wspólnie - w gronie zesłańców. My - dwie siostry i mamam - mieszkaliśmy w jednej izbie z trzema innymi katolickimi rodzinami, także pozbawionymi mężożyzn. Była to kresowa osadniczka wojskowa, babcia Cymareka z dwoma wnuczkami, pani Piórkowska z Poznania z córką i synkiem, bawiący w 1939 roku na wakacjach koło Nieświeża i w końcu żona oficera policji z tego miasta z dwójką 2-3-letnich dzieci. Z tymi rodzinami spędzałyśmy najwięcej czasu, wspólnie modliłyśmy się, choć nie było w "pasiołku" katolickiego duchownego.

W sąsiednich izbach i barakach mieszkało sporo Żydów, głównie asymilowanych. Pamiętam pana Singera - właściciela trzech kin z Warszawy, pana Gause z Sosnowca, Cukiermanów, Goldbergów... Były wśród nich osoby bogatsze, które posiadały nawet sporobituterii. Tym żyło się lepiej. W ogóle Żydzi trzymali się razem, rodzili dzieci, podobno robili nawet obrzezanie...

Do "pasiołka" dochodziło bardzo mało wiadomości ze świata. Nic nie wiedziałyśmy o umowie Sikorski-Majski i dopiero we wrześniu 1941 roku przyjechało do naszej osady dwóch Rosjan ze Swierdłowska

i zrobiło zebranie. Oświadczyli nam, że możemy wyjechać dokąd chcemy, z wyjątkiem dwustukilometrowej strefy wokół "oblastnych" miast i tysiąckilometrowej zony przy froncie. Słowem nie wspomnieli nawet, że przysługuje nam darmowy przejazd.

Wszyscy w wiosce zaczęli przygotowywać się do wyjazdu, by jakoś dostać się na południe. Robiliśmy suchary na podróż, wszystko wyprzedaliśmy zbierając pieniądze na bilet kolejowy. Znajoma, pani Brzozowska - z trójką dzieci swojej siostry - nie zdołała zebrać odpowiedniej sumy i została. My wsiadaliśmy z grupą wracających na towarową barkę wiozącą ryby oraz beczki z borówkami i suszonymi grzybami. Po paru dniach musieliśmy się tym żywić, gdyż barka płynęła bardzo wolno, Tawda zaczęła zamarzać, choć był to dopiero wrzesień, w końcu weszliśmy na mieliznę. Minęły dwa tygodnie, nim nas ściągnął holownik. Cały ten czas koczowaliśmy między beczkami na pokładzie barki.

**EDF** ~~DRZAL~~ **DRZAL-A** **DRZAL-B** ↓  
także w mieście Tawdzie spędziliśmy wiele dni czekając na pociąg.

**B** Mieszkałyśmy na kwaterze wynajętej za ostatnie ubranie. Potem kładą dostaliśmy się do Czelabińska i tu dopiero dowiedzialiśmy się od Polaków jadących do Buzukuku, że powstaje polska armia i że przejazdy są bezpłatne. Ruszyliśmy więc dalej, lecz Buzukuk i Kujbyszew zatłoczone były zesłańcami i kandydatami do wojska. Poradzono nam, by jechać do Taszkentu. I znów podróż trwała wiele dni. Stawało się coraz cieplej, ale też coraz głodniej. Mydło i herbatę, które dostaliśmy w Buzukuku, wymienialiśmy na jedzenie. Z jakiś powodów nie zatrzymaliśmy się w Taszkencie, lecz wylądowaliśmy nad Amu-Darią w Czardżuj. Tu zgromadziło się wielu Poleków z łagrów. Wszyscy radzili dokąd dalej jechać. Pani Piórkowska i babcia Cymerska, która wkrótce zmarła na tyfus, udały się do Aszhabadu, do Andersa. My załadowaliśmy się na jedną z czterech wielkich barek, które płynęły rzeką do Aralska.

Trafiliśmy jednak 1 listopada do kołchozu "Awangarda" - położonego niedaleko miasta Nukus i zamieszkałego przez bardzo kulturalnych i miłych Koreańczyków. Rozlokowano nas po domach, w których mieszkało już wielu innych Polaków; pamiętamy dobrze malarza Kossakowskiego. Wszyscy dyskutowaliśmy o armii Andersa, mężczyźni zaczęli organizować się, jedna z nas planowała zostać sanitariuszką. Panował dobry nastrój, kwitło życie towarzyskie, poprawiała się sytuacja żywnościowa, gdyż można było polować, między innymi na dziki.

Pewnego dnia przyszedł jednak do kołchozu "prikaz": załadować Polaków na barki i wysłać dalej! Na rzece sformowano konwój - kilka statków związanych razem linami. Jakiś młody człowiek załatwił nam miejsce w zabudowanej kajucie. Razem z nami płynęły cztery Polki, które niedawno wyszły z więzienia. Wszyscy byli zawszeni i cały czas polowałyśmy na te ohydne stworzenia. Nocą robiło się zimno. Spędzisty pokład obmarzał i ludzie wypędali za burtę. Stale gotowałyśmy kawę, by trochę się rozgrzać. Znow zaczął się głód. Barki co pewien czas przybijały do brzegu, by pochować umarłych.

Niespodziewanie w miejscowości Turkulu konwój rozłączono. Dwie barki zdołały jeszcze spłynąć, a ich pasażerowie dołączyli do Andersa. Reszta została na miejscu lub wolno poęglowała wzdłuż rzeki. 8 grudnia wylądowano nas w nieistniejącym już dziś mieście Szabaz w Karakalpackiej ASRR i wysłano do leżącego nieopodal kołchozu im. Leninizmu.

W "Leniniźmie" w prymitywnych glinianych lepiankach mieszkali Uzbegy. W większości byli to ciemni muzułmanie z głuchej uzbeckiej prowincji, nie znający rosyjskiego i patrzący na Polaków ze zdziwieniem. Odnosili się jednak do nas dobrze, może dlatego, że sami byli bardzo biedni i cierpieli nie mniej <sup>niz my.</sup> ~~od nas~~. Chorowali masowo na jaglicę oraz tyfus, w porze kwitnienia bawełny dręczyła ich alergia

i chodzili z czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

Zamieszkałyśmy w opuszczonej lepiance, w jednej izbie z malutkim okienkiem i piecem w przedsionku. Na 10 metrach kwadratowych glinianego kłapiska żyło siedem osób: my dwie z mamą, jeszcze jedna trzyosobowa rodzina i samotna pani. W kółchozie było około 60 Polaków, lecz rozmieszczono ich w różnych brygadach rozrzuconych co kilka kilometrów na wielkiej plantacji.

Pracowałyśmy przy zbiorze i sadzeniu bawełny. Ciężkimi motykami spulchniałyśmy ziemię między rządami bawełnianych krzaków. Na specjalnych nosilkach dźwigałyśmy w pole owcze odchody, by użyźnić glebę. Konserwowałyśmy system nawadniający, naprawiając tak zwane aryki - kanały z wodą. Praca zaczynała się o <sup>środku</sup> rano. Latem o 11 robiono trzygodzinną przerwę, gdyż temperatura przekraczała 40 stopni i upał robił się tak straszny, że nie można było postawić bosoj stopy na piasku. Wracano do motyk o <sup>środku</sup> 2 po południu, by pracować do piątej. Wieczorem krzątałyśmy się w "domu", między innymi szykując jedzenie. Dostawałyśmy w kółchozie przydział grochu, maki dżugarowej - z odmiany kukurydzy - i trochę pszenicy. Męliłyśmy ją na żarnach pożyczonych od Uzbeków i piekłyśmy placki w prymitywnych piecach zwanych tandrami, przyklepiając rozrobione ciasto do ~~ścian~~ glinianych ścian. Trochę jedzenia można było dostać za ubranie na targu w Szabazie, gdzie poza naszymi codziennymi współpracownikami - Uzbekami spotykałyśmy Żydów i Rosjan. W kółchozie prawie ich nie było, z wyjątkiem nielicznych inwalidów przysłanych tu z frontu. Po zbiorach podkraśwałyśmy z obrobionych już pól pozostawione buraki cukrowe, które potem piekłyśmy. Chodziłyśmy też po żniwach na tak zwane kłoski leżące na ściernisku. Czasami, od wielkiego święta, zabijano osła lub owcę i pieczono je na bardzo niedobrym oleju bawełnianym. Niektórzy polowali na jeże. Przysmakiem były znakomite melony i suszone morele z dziczek. Nie było więc głodu, choć niekiedy jadałyśmy też lebiędę i koniczynę. Nie wszyscy dobrze zno-

sili taką dietę i niezbyt czystą wodę z aryków. Sporo <sup>ludzi</sup> ~~Polaków~~ zmarło na tyfus plamisty, powracała malaria...

W promieniu 100 kilometrów wokół Szabazu mieszkało około 2 tysięcy Polaków. Większość mężczyzn poszła do armii Andersa, ale ci, którzy zostali, zaczęli się organizować. W Szabazie mężem zaufania wybrano oficera rezerwy, podporucznika Rapacza. Nawiązał on kontakty z kapitanem Majem w Nukusie i starał się zorganizować naukę dla dzieci. Początkowo niewiele można było zrobić, gdyż brakowało nawet ołówków. Po kilku miesiącach udało się jednak utworzyć w Urgenczu, na drugiej stronie Amu-Darii, dom dziecka.

W tym czasie przeniosłyśmy się już z lepianki do lepszego domu, gdzie panowały całkiem znośne warunki. Spałyśmy nawet pod zaimprovizowaną moskitierą. Siostra, Irena została z mamą w kokchozie, a ja zamieszkałam w internacie domu dziecka. Był to wielki budynek z przestronną sypialnią, prymitywną lecz działającą kąpielnią, wielkimi klasami, w których odbywała się nauka. Całością kierował pan Rapacz mający do pomocy - poza paroma nauczycielami - siostrę zakonną, krawcową i pana Abramowicza - byłego felczera wojskowego z Wileńszczyzny.

Spałyśmy na zwykłych pryczach zbitych z nieheblowanych żerdzi przykrytych matami z trzciny i wojłokowym posłaniem. Strasznie to było prymitywne i wszędzie poniewierała się wypadająca spod nas trzcina, ale przykrywaliśmy się już kocami z UNE-y. Instytucja ta stała się wówczas naszym wybawieniem: zaczęły przychodzić paczki, a w nich smalec, dżemy, margaryna, mąka, kawa, kakao. Po raz pierwszy od lat dzieci mogły najeść się do syta i dosłownie odżyły. Nauka odbywała się w pięciu klasach, gdyż w naszym domu mieszkały różne dzieci: od całkiem małych aż po 14-letnie. Brakowało nam książek, pisaliśmy na pierwszych stronach rosyjskich wydawnictw, na odwrotach zdjęć i ilustracji, na marginesach... Wieczorem spoty-



kaliśmy się w sali rekreacyjnej, gdzie uczyliśmy się piosenek, odbywały się wieczornice. To była sielanka, choć pan Rapacz - stary harcerz i oficer - narzucił nam wojskowy rygor: pobudka, apele itd.

Tak minął rok szkolny 1942/43: w polskiej szkole, pod opieką polskiego przedstawicielstwa, z paczkami URR-y. Następny rok był już inny. Dyrekcję szkoły objęła rosyjska Żydówka. Zlikwidowano lekcje języka polskiego, w ogóle wszystkiego uczono po rosyjsku i wprowadzano tak zwaną dziesięciolatkę. Przyszli nowi marni nauczyciele: Uzbek źle mówiący po rosyjsku, Koreańczyk, który uczył matematyki i był bardzo sympatyczny, Rosjanki, które zostały też wychowawczyniami dzieci przedszkolnych. Zdarzali się wśród nich dobrzy, szlachetni ludzie. <sup>Wojciech</sup> Siostra, Irena pracowała wówczas <sup>Y</sup> przedszkolu, nawet mnie udało się wyjechać z "Leninizmu" i znaleźć zatrudnienie pod samym miastem w kołchozie Achum Babajewa. Do przedszkola domu dziecka przyjęto więc Rosjanę, która od 20 lat mieszkała w Uzbekistanie. Przyjechała tu z mężem-komunistą organizować władzę radziecką wkrótce po rewolucji. Sama też była komunistką i walczyła o komunizm w Rosji. Na uzbeckiej prowincji zakonserwowała w sobie wszystkie cechy rewolucjonistki z wczesnego, przedstalinowskiego okresu. Lekceważyła i pogardzała nadgorliwą nową dyrektorką domu dziecka - Żydówką z Odessy. Autentycznie lubiła dzieci i pracę z nimi. Nawet nas w wolnych chwilach uczyła poprawnej, literackiej ruszczyzny.

Była w Urgenczu także inna kobieta - Polka z pochodzenia. Pamiętała jeszcze trochę polskich słów, których nauczyli ją rodzice, ale zachowywała się jak prawdziwa komunistka stalinowskiego formatu. Śledziła nas i podsłuchiwała wieczorem pod oknami, donosiła, że modlimy się, zwalczała wszelkie przejawy polskiej odrębności, była zła i oschła. Z czasem jednak przekonała się do nas, sama zaczęła

mówić po polsku, dała się ochrzcić, stała się gorliwą katoliczką i polską patriotką, recytowała z pamięci najbardziej znane polskie wiersze. Bardzo chciała wrócić do Polski, lecz nie pozwolono jej na to i chyba na zawsze została nad Amu-Darią... 1907/1

Rusyfikacja szkoły utkwiała nam mocno w pamięci. Zdjęto polską flagę z masztu. Chłopcy nie chcieli na to pozwolić, doszło do bija-tyki. Zabroniono nam się modlić, dostaliśmy paszporty radzieckie, resztkę mężczyzn poszła do armii kościuszkowskiej, zostały same kobiety, stale wybuchały konflikty.

Tak minął drugi i ostatni rok w szkole a trzeci nad Amu-Darią. Latem 1944 roku wybuchła w Uzbekistanie epidemia duru plamistego. Uzbeki i Polacy padali jak muchy. Wycieńczonych ch~~x~~orobą i nawra-cającą malarią dobijała dezynteria. Ratunkiem przed nią był ryż, niedostępny jednak dla biednych. Brakowało najprostszyc~~h~~ leków, za które płacono jedzeniem. Czysta chinina w ogóle nie istniała, zastępowała ją mniej skuteczna agrychina. Chorowaliśmy także my, a mama właściwie już umierała. Uratowaliśmy ją sulfonamidami, cudem kupionymi za ostatnią porządna bluzkę.

We wrześniu 1944 roku przyszła do Urgenczu decyzja, że Polaków przenosi się bliżej Polski. Załadowano nas znów na barki i spły-nęliśmy do ujścia Amu-Darii do morza Aralskiego. Tu czekałyśmy przeszło tydzień na statek, którym dwa dni płynęłyśmy przez morze. Po jego drugiej stronie znów czekałyśmy, tym razem na pociąg, który zawiózł nas do <sup>li</sup>Mizopola na Zaporozżu. Dostałyśmy przydział do po-bliskiego sowchozu "Sadowaja", gdzie - zgodnie z nazwą - ~~x~~hodowano owoce, głównie śliwy i wiśnie.

Znalazłyśmy się w całkiem nowym środowisku, gdyż z Urgencza przyjechało tu z nami tylko około 15 osób. Większość pracowników sowchozu wywodziła się z różnego rodzaju przesiedleńców; było oko-ło 50 osób z Polski, wielu Rosjan, trochę Żydów. Najliczniejszą grupę stanowili rzecz jasna Ukraińcy, źle nastawieni do Polaków.

C  
PRZAL-C

Nazywali nas "parazyty", gdyż dzięki pomocy Związku Patriotów Polskich dostawaliśmy 20 deko chleba dziennie więcej niż inni. W "Sądowej" nie było już głodu, tak jak bezpośrednio po odejściu Niemców, ale jedzenie <sup>6.10</sup> ~~pozostawało~~ bardzo złe. W stożówce dostawaliśmy cienki krupnik, zakwaszony ogórkiem lub pomidorem. Wszyscy trochę kradli na polach, kopaliśmy zapomniane kartofle na obrabionym kartoflisku. Trochę jedzenia dokupowaliśmy, ale płacono nam tak mało, że na niewiele starczało. Polki często dorabiały szyciem, przędzeniem, robieniem na drutach. Latem najadałyśmy się do syta owoców, gdyż nie było już szkółki i większość czasu spędzałyśmy w sadzie.

W lutym 1946 roku przyszła wiadomość, że wracamy do Polski. Mieliśmy już karty repatriacyjne. Parę dni jechałyśmy koleją do Krakowa. W pociągu brakowało jedzenia, byłyśmy głodne ale jednocześnie silnie podniecone: po latach tułaczki wracamy wreszcie do wymarzonego kraju. 11 lutego przekroczyłyśmy granicę.

W Krakowie czekało jednak ~~na~~ nas rozczarowanie. Wszędzie było pełno Rosjan i żołnierzy Armii Czerwonej. Kresowiaków skierowano na Ziemię Odzyskaną. My we trzy wsiadłyśmy do pociągu do Warszawy. Panował w nim okropny tłok, na szczęście jacyś oficerowie przyjęli nas do wagonu specjalnego. Jeden z wojskowych dał nam bułkę z szynką - nigdy nie zapomnimy smaku tamtej kanapki. Na każdym kroku po tych kilku latach spędzonych w Rosji szokowała nas powszechna obfitość jedzenia. Wszyscy patrzyli na nas dziwnym wzrokiem: byłyśmy tak obszarpane, że gdy już w Warszawie zapukałyśmy do drzwi własnego mieszkania, otwierająca je nasza babcia chciała nam dać jałmużnę, myśląc, że ma do czynienia z żebrakami.

Powoli wracałyśmy do normalnego życia, nadrabiałyśmy zaległości szkolne. Nie przyznawałyśmy się jednak do tego, co przeszłyśmy. Początkowo nic nie wiedziałyśmy o przebiegu wojny w Polsce i wszyscy

nam opowiadali o koszmarze hitlerowskiej okupacji. ~~xx Polkes~~ Ojciec  
siedział dwa razy w obozie i brał udział w powstaniu warszawskim.  
W domu kłóci<sup>liśmy</sup> się, kto miał gorzej. Wynik tych sporów był taki,  
że ukrywałyśmy przed znajpmymi nasze losy w Rosji. Bo przecież nam  
nic się nie stało...

1EJF

DRZAL-C ↑